

BARWA i RYSUNEK

BEZPŁATNY DODATEK DO „GAZETY MALARSKIEJ“ DLA MŁODZIEŻY

Abonenci Gazety Malarskiej z amawiąć mogą osobno Dodatek „Barwa i Rysunek“ za opłatą zł 1,— na kwartał

Do Młodzieży

W czasach dawnych, kiedy rzemiosło nietylko poważano, ale stawiano na równi ze sztuką, o ile współdziałało przy budowie kościołów i zamków, przy rzeźbie i dekoracji, w czasach tych, lat temu 400 i 500, cechy dbały o to, by wszelkie zamówione prace wykonywał rzemieślnik sumiennie, a pod względem artystycznym i technicznym bez zarzutu. Rzemieślnik ówczesny mógł tym wymaganiom zadośćuczynić, ponieważ miał pomocników wyszkolonych i doświadczonych, którzy lata całe strawili na nauce.

Posłuchajcie jednakże, jak długo i czego musiał się uczyć malarz, by zostać dzielnym pomocnikiem, a później po latach mistrzem cechowym. Pisze o tem w swej książce o malarstwie włosch Cennino Cennini, który żył od 1372—1473: „Wiedz, że nie łatwa to sprawa. Nasamprzód rok minie, nim się nauczysz wykonywania drobnych rysunków. Potem zabrać się będziesz musiał do pracy w warsztacie, by zapoznać się ze wszystkim, co do rzemiosła Twego należy. Przygotowywanie farb, przygotowanie kleju, gruntowanie płótna, drzewa, złozenie — wszystko razem

zabierze Ci sześć lat pracy i nauki. Drugie sześć lat zużyjesz na stosowanie twoich wiadomości i nabytej wprawy już przy pracach zamówion., np. przy malowaniu ornamentacji, bejcowaniu, złozeniu i przy malarstwie ściennem. A o ile wykazesz zdolności jakieś i w rysunkach, rysujesz świątki piątki. Zrobiłeś duże postępy — dopuszcza Cię mistrz do malowania tła, szat Świętych Pańskich i szczegółów rozmaitych w obrazach“.

Dziś warunki są inne, czas nauki czteroletni najwyżej. Trzeba się uczyć pilnie, ażeby być należycie przysposobionym do egzaminów najpierw na pomocnika, a potem na majstra. **Pismo niniejsze ma Wam w tem dopomóc. Droge Wam wskaże, niejedno wyjaśni, z ciekawymi rzeczami zapozna, na zapytania odpowie.** Nie obszerne ono na razie. **Mamy jednakże nadzieję, że poparte przez wszystką młodzież malarską, będzie mogło z czasem wypełnić swój obowiązek w takich rozmiarach, jakich wymaga przyszłość rzemiosła.**

Sztuczne farby z węgla

Zima była ostra. Jędrak, syn malarza, siedział przy oknie w dobrze ogrzanej izbie, namysławiając się, jakby to wydostać się jaknajprędzej na ulicę. Z zadręścia spoglądał na kolegów, którzy mimo dokuczliwego mrozu urządzili sobie wesołą zabawę na śniegu. Niesety, on siedzieć musiał...

Tymczasem za oknem płatki śniegu spadały powoli, lekko, by całunem białym pokryć szare ulice. Ludzi widać było mało, prócz tych rozbrykanych

chłopaków. Raz po raz tylko ukazywał się ktoś i biegł szybko, owinięty w ciepłe futro. Ten i ów pocierał zaczerwienione od zimna uszy. Tam wóznicą biegł obok wozu, by rozgrzać sobie nogi. Mróz im dokuczał.

Jędrak mimowoli przypominał sobie opowiadania ojca o strasznych mrozach, panujących w głębi Sybiru. W tem weszła matka. Chłopak wzdygnął się, gdyż spodziewał się dalszego ciągu „wałów“, które

jeszcze czuł na swej skórze. „No, leniuchujesz znowu, nieponiu! Idź-no po węgiel...” rzekła, wchodząc do izby i pogroziła mu. „Chciałoby ci się znowu wałęsać po bruku! Ja ci tu sprawię! No, ruszaj się, prędzej!” Jędrrek wstał opieszale i leniwie. „Masz tu wiadro i dalej, a prędko!” Poszedł wreszcie, mrużąc coś pod nos, i narzekając, że wogóle musi istnieć ten paskudny węgiel. Nawet na myśl mu nie przyszło, jakim błogosławieństwem Bożem jest ta pozornie tak bezużyteczna bryła.

Po jakimś czasie wrócił z piwnicy, dźwigając z udanym wysiłkiem wiadro węgla. „No widzisz”, odezwała się matka, „co ci to zaszkodziło? Korona ci z głowy nie spadła. Ale, bo ty myślisz tylko, jakby tu najprędzej coś zbroić, jakby tam na ulicy zarzucić komuś śniegiem oczy”. Jędrrek milczał; bał się coś odpowiedzieć, bo matka trzymała w ręce kawał węgla. Tymczasem przedmiot jego obawy, ów kawał węgla, znikł wraz z innymi towarzyszami niedoli w otworze pieca kaflowego. „Widzisz”, — odezwała się po chwili matka, podnosząc głowę, „gdyby nie ten węgiel, tobyś marzył w izbie”. Chłopak mimowoli zapytał: „A czy na nic więcej nie przyda się ten węgiel?”. „Naturalnie, a nie wiesz to, skąd mamy smołę? Aha! a farby... zapytaj-no ojca”. — „Ale, co mama opowiada” zaśmiał się Jędrrek.

Koło południa zjawił się ojciec. Ledwie zdążył zrzucić płaszcz, na którym błyszczały płatki śniegu, ledwo zdążył powiesić kapelusz, chłopak zapytał go nieśmiało: „Tato, czy z węgla robią farby?” — „A kto ci o tem mówił?” spytał ojciec, zdziwiony nagle zainteresowaniem syna. „Mama mi o tem mówiła”. „No, to ci już powiem, chociaż ty to jednem uchem słuchasz, a drugim wypuszczasz”. — „Ale nie, tato, to takie ciekawe.” — „No, jak ciekawe, to ci powiem”. Usiądź-no spokojnie i słuchaj”. Chłopak usiadł. A ojciec tymczasem zapalił ogromne cygaro, wypuścił błękitny kłęb dymu i, przechadzając się wolnym krokiem po izbie, zaczął Jędrkowi opowiadać ciekawe rzeczy o węglu.

„Tak, mój chłopcze, węgiel ten nietylko służy do nagrzania w piecu. Dużo, dużo jeszcze się z niego robi. Węgiel to nie taka sobie małowartościowa bryła, ale przedmiot wielkiego znaczenia. Przez odpowiednią przeróbkę można go zmienić w rozmaite gazy, w drogie kamienie, w naftę, — a także w różne farby.” „Tak, właśnie to ciekawe”, wtrącił Jędrrek, „jak z tego czarnego węgla można zrobić farbę!” „Tak”, ciągnął dalej ojciec, który przestał tymczasem przechadzać się po izbie i usiadł przy piecu. „To naprawdę ciekawe! Jeszcze przed stu laty farbowano np. płótno i wszystkie materiały wełniane farbami naturalnymi”. — „A jakie to są farby naturalne?” przerywał Jędrrek. — „No, posłuchaj tylko. Farby naturalne wyrabiają z roślin albo z drobnych owadów i ślimaczków. Lecz są one stosunkowo drogie. Dajmy na to, że potrzebna nam jest farba purpurowa i że chcielibyśmy użyć tylko farby naturalnej. Otóż, gdybyśmy nawet potrafili zebrać tyle ślimaczków purpurowych, z których tę farbę wytwarzamy, to mimo wszystko nie potrafilibyśmy przefarbować wszystkich tkanin, wyrabianych przez jeden rok tylko na całym świecie. — Otóż przez długi czas pracowano nad wy-

nalazieniem farb sztucznych. Przedewszystkiem zwrócono tu uwagę na węgiel. Wiedzano dobrze, że węgiel to nietylko materiał opałowy. Już przecież około r. 1800 zaczęto wydobywać z węgla gaz świetlny”. — „Gaz świetlny”... powtórzył Jędrrek pytającym głosem. — „No tak, gaz świetlny, ten gaz, wiesz przecież, co się pali w naszych lampach” wyjaśnił ojciec. „W gazowni przerabiają węgiel na gaz, który gromadzi się w wielkich zbiornikach; widziałeś je przecie”. — „Widziałem” potwierdził chłopak. — „To jedno; pozatem otrzymano koks i smołę pogazowaną. Koks albo używa się na opał albo też do wzmacniania dróg. Smołę zaś początkowo odrzucano jako bezużyteczną. I oto pewnego dnia wykryto w smołę, po przeprowadzeniu odpowiednich badań, istnienie benzolu. A potem już każdy niemal dzień i tydzień przynosił nowe odkrycia. W pocie swej, niepozornej grudce węgla zaczęto odkrywać całe skarby rozmaitych płynów i gazów, których same nazwy mogą się dziś wydać tajemnicze. Aż wreszcie w r. 1856 dokonano odkrycia wprost epokowego, bez którego świat dzisiejszy nie mógłby się obyć. Wykryto mianowicie **anilinę**, która odpowiednio przerobiona, dała ludziom **farby anilinowe**, i to w kilku początkowo odmianach. Jednak nie na tem się skończyło. Nowocześni nasi badacze zaczęli jeszcze skrupulatniej badać smołę i udało im się sztucznie stworzyć **alizarynę** a potem **indygo**. Naturalną alizarynę, która należy do najtrwalszych farb czerwonych wyrabiano dawniej z korzeni marzanny, rośliny, hodowanej kiedyś głównie we Francji. Sztuczne zaś, wydobyte z węgla indygo, zastąpiło farbę, wyrabianą z rośliny indygo, rosnącej w Indjach. Wynalezienie alizaryny i indyga wywołało ogromny przewrót w świecie. Francja zaprzestała uprawy marzanny, a indygo, hodowane w Indjach przestało dawać dochody. Tak. — tak, mój chłopcze, tak ludzie zdołali wykryć we węglu tyle różnych rzeczy. A farby sztuczne są przedewszystkiem różnorodniejsze. Jednakże, chociaż są wydajniejsze i piękniejsze od naturalnych, przecież nie tak trwałe jak one. Dziś mamy już np. 8000 odmian różnych farb”. Tu ojciec wstał z krzesła i znowu zaczął przechadzać się po izbie. „Tak, tak, węgiel nie jest tak mało użyteczny, jakby się wydawało. A ty co? Ty myślałeś, że tylko na opał? Oh! niema tak dobrze!” Po chwili dodał: „No, a podobał ci się mój wykład? Co?” „Bardzo, bardzo mnie to zaciekawiło” odpowiedział Jędrrek. — „No, kiedy tylko” rzekł ojciec i zaczął czegoś szukać po kieszeniach. — „Czego tato szuka? — „Okularów! Chciałem przeczytać gazetę”. — „A, są tu” rzekł Jędrrek, podając ojcu okulary. Potem usiadł znowu pod oknem, by przypatrywać się nadal przechodniom, biegnącym po chodnikach. Patrzył i patrzył na wesołą gromadę chłopaków, którzy mimo śniegu, mimo mrozu, wesoło, wśród krzyku, wciąż jeszcze walczyli zaciekle kulami ze śniegu. — Radby wybiegł do nich biedny Jędrrek, ale siedzieć musiał. Ach! jakby chętnie był tam z nimi, jakby chętnie przyłączył się do nich!

A śnieg tymczasem utworzył sporą warstwę i nie myślał zaprzestać, lecz padał ciągle, białymi płatkami pokrywając ulice, domy, czepiając się okien, drzwi, wystających gzymsów, jakby chciał cały świat przybrać w odświeżną białą szatę.



Pogadanki o stylach

Malarstwo w zaraniu swego istnienia, ściśle związane czy to z formą przedmiotów codziennego użytku, jak np. urny lub wazy greckie czy też z **architekturą** jest sztuką wyłącznie zdobniczą, jest **malarstwem na wskroś dekoracyjnem**. Z czasem jednakże uniezależnia się ono i zaczyna występować jako sztuka samoistna. Jednak i wtedy jeszcze nie zatracą swego pierwiastka dekoracyjnego, zawsze szuka oparcia o architekturę, wraz z jej rozkwitem staje się sztuką wielką, monumentalną i wraz z nią upada, podobnie zresztą jak i rzeźba.

Skoro więc stosunek ten malarstwa do architektury istnieje trzeba nam malarzom nietylko go zbadać, lecz ponadto koniecznie poznać samą **architekturę, jej historję i rozwój**. To zaznajomienie się z wszystkimi fazami rozwojowymi architektury pozwoli nam zrozumieć i wczuć do wnętrza kościoła, sali i mieszkania, że zespoli się w jedną całość z architekturą, nietylko ku zadowoleniu architekta, ale i na chwałę malarza. **Architektura, to sztuka, w której przejawia się najplastyczniej kultura narodów**, a zarazem najwidoczniej występuje **styl rozmaitych okresów**

czasu. Stylem zaś w architekturze nazywamy pewne powtarzające się formy i odrębności, które przeprowadzone konsekwentnie nadają wszystkiej twórczości charakterystyczne piętno czasu, w którym powstały, i ludu, który urabiał je według swych pojęć, wymagań i smaku. Inny zatem będzie styl czasów przedhistorycznych, inny czasów przedchrześcijańskich, a jeszcze inny średniowiecza lub czasów ostatnich. Oczywiście narody o wysokiej, a dawnej kulturze, o silnie rozwiniętych zdolnościach twórczych, nadawały temu tworzywu czasu tak doskonały i oryginalny wyraz, że styl ich narzucał się sąsiadnym narodom o niższej kulturze, przenikał je, podnosił, nabierał cech lokalnych, a nieraz bywał bodźcem do nowych wysiłków i zarodkiem nowych form nowego stylu.

Egipt.

Ludem takim o głębokiej wiedzy, który architekturze owej, rzeźbie i malarstwu w ciągu czterech tysiącleci, przed narodzeniem Chrystusa, nadał oryginalne już cechy, był **lud osiadły nad żyznymi brzegami Nilu**. Odcięty od świata morzem i skalistymi pustyniami, pozostawiony samemu sobie i Nilowi, **wydobyl z siebie** pracą systematyczną tę **potężną kulturę, wiedzę i sztukę**, z której czerpały potem narody Europy. Nil, który corocznymi wylewami użyzniał kraj, nauczył Egipcjan najpierw budować **kanały i tamy**, których boki pochyłe odnajdujemy we wszystkich ich budowlach charakterystycznych, w **piramidach, świątyniach i obeliskach** (ryc. 2.) Budowle te służyły kultowi religijnemu i czei zmarłych. Olbrzymie **piramidy** kryły w głębi małe z grobami królewskimi. Monumentalnie zbudowane **świątynie** (ryc. 1.) z potężnymi wieżami (pylonami) z przodu o pochyłych ścianach, zakoń-

czonych charakterystycznym gzymsem, silnie wysuniętym, okryte były na zewnątrz **hieroglifami**, to znaczy pismem obrazkowym, opowiadającym dzieje kraju Faraonów, oraz przedstawieniami bóstw i mitów.

Postacie ludzkie przedstawiano zwykle w jeden i ten sam sposób, a mianowicie z piersią widzianą z przodu, głową zaśinogami z profilu (ryc. 8.) Całą tę **dekorację zewnętrzną**, wykutą płasko z kamienia z lekko wgłębionym, otaczającym ją konturem, **polichomowali Egipcjanie barwami czystymi**, nadając monotonnym, kamiennym ścianom świątyń — i życia dużą i malowniczość. We wnętrzu zaś tych świątyń wyrastała niezliczona ilość kolumn, które jednakże w zrozumieniu Egipcjan nie podtrzymywały stropu, lecz były raczej kwiatami rosnącymi pod gwieździstym niebem, wymalowanym na sropie samym. Zakończone też są kolumny **kwiatem** czczonego **lotosu** (ryc. 4), **papirusem** (ryc. 5) lub **liściami palmy** (ryc. 6.) **Kwiat lotosu**, często używany w dekoracji, podajemy na tle charakterystycznie stylizowanej wody (ryc. 16.), napotykanym we fryzach, jako **jedyny prawie motyw ornamentacyjny** w sztuce egipskiej **poza linijnymi i geometrycznymi fryzami** (ryc. 10—15.), malowanymi na ścianach i na częściach architektonicznych np. gzym-su głównego (rycina 7.)

Z rzeźby wypada wymienić jeszcze **sfinksy**, (rycina 3.), które rzędami ustawione stały przed wejściem do świątyń i olbrzymich rozmiarów bóstwa — oraz **wielki tajemniczy sfinks**, co po pierśi wkopany w żółte piaski pustyni, strzegł z zagadkowym uśmiechem mumii królewskich i skarbów nieprzeliczonych, ukrytych w labiryntach wiekopomnych piramid.

W. G.

Ze wspomnień cyganerji

Jak to malarz żyda zezarował.

Gdzieś w Starym Krakowie mieszkał przy ulicy Topolowej artysta-malarz Bruzdowicz, a pracownia jego sąsiadowała z pracownią jego przyjaciela, malarza Każeta, znajdującą się w drugim domu, ale o ścianę. Aby móc komunikować się ze sobą przyjaciele kazali wyjąć w ścianie otwór, tak że każdej chwili mógł wejść jeden do pracowni drugiego. Pewnego pięknego dnia przypadał termin pożyczki, zaciągniętej przez Każeta u jakiegoś żyda lichwiarza. Każet, z braku pieniędzy na spłatę długu, wołał uniknąć rozmowy. Opuścił więc dom, a Bruzdowicza poprosił, aby ten „wytłómaczył“ go jakoś przed żydem. — Wkrótce rozegrała się następująca scena.

Bruzdowicz usłyszał pukanie do drzwi pracowni Każeta. Przeszedł więc ze swojej pracowni przez dziurę w murze, otworzył drzwi, a spostrzegłszy żyda przed drzwiami, zapytał stentorowym głosem, przybierając przy tem najpoważniejszą minę, czego sobie życzy.

„Przyszedłem do p. Każeta“ — odpowiada żyd, klaniając się nisko.

„Do p. Każeta“ powtarza Bruzdowicz — to w sąsiednim domu. Tu ja mieszkam, a p. Każet mieszka pod nr. 26“.

Usłyszawszy to, żyd zmieszał się ogromnie i — nie nie przeczuwając, uklonił się, przeprosiwszy za tę pomyłkę i własną nieuwagę. Istotnie, nie uważając, można było, się łatwo pomylić, gdyż oba domy, należące do jednego właściciela były zupełnie jednakowe, na podstawie tego samego planu, budowane tak z zewnątrz jak i wewnątrz. Zdziwiony własną nieuwagą, żyd wolno zeszedł na dół i oglądawszy numery obu domów, ocierając pot z czoła zaczął się wdrapywać na 3 piętro sąsiedniej kamienicy.

Tymczasem Bruzdowicz powrócił do swojej pracowni i spokojnie oczekiwał ponownej wizyty żyda. Istotnie po dłuższej chwili zapukano do drzwi. Malarz otworzył i na pytanie do kogo, usłyszał znowu tę samą odpowiedź, co przedtem. Na to z pewnem zniecierpliwieniem w głosie odpowiedział: „Jużem Panu raz mówił, że tu ja mieszkam, a p. Każet w sąsiednim domu.“

Żyd wybałuszył oczy, otworzył usta i wśród nieopisanego pomieszania, stał niemy wpatrując się w malarza. Nie wiedział co się z nim dzieje. Żyd zrozumieć nie mógł, w jaki sposób idąc do Każeta już drugi raz tak się pomylił. Wyjął dużą chustkę w ręce i obcierał spoconą twarz. Wreszcie nie nie mówiąc, oglądawszy kartę na drzwiach, zawrócił z powrotem.

Po upływie może pół godziny Bruzdowicz usłyszał ponowne pukanie do pracowni Każeta, podbiegłszy, otworzył przedko drzwi na oścież, a żyd ujrawszy go znowu, z wielkim krzykiem zaczął uciekać, powtarzając z przerażeniem: „Gwałtu! co to jest? ja zwarzjował, ja zwarzjował!“ Zbiegł szybko po schodach i już więcej się nie pokazał. Kilka miesięcy później Każet odszukał go w domu na Kazimierzu aby mu zwrócić pożyczkę. Żyd nie chciał jej w żaden sposób przyjąć, obawiając się że te pieniądze przyniosą mu nieszczęście. Widział bowiem w tem działanie jakichś czarów, które mu już raz odjęły świadomość tego, co robi. Był przecie przekonany, że wciąż wchodził do tego samego domu, w którym mieszkał Bruzdowicz, mimo całej uwagi i ostrożności. Nie było sposobu, żeby go skłonić do przyjęcia pieniędzy. Wreszcie Każet nie widząc innego wyjścia, wyliczył mu na stół pieniądze i wyszedł. Do końca swego życia żyd widział w tym wypadku działanie czarów, które mu Każet miał rzucić.